

Fryszman Ostatni raz



Nr

6

DAWID FRYSZMAN

OSTATNI RAZ

Cena  
50 gr.





6 Biblioteczka Pisarzy i Klasyków Żydowskich 6

DAWID FRYSZMAN

# OSTATNI RAZ

Przełożyła z żydowskiego Mira Fryszmanówna



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA 1925

WYDAWNICTWO „ORIENT“

UL. OGRODOWA № 27 m. 54



Druk. „Di Weit” Warszawa Nowolipie 7

21.952



Dawid Fryszman





## Ostatni raz

Na dworze wicher wie i świszcze, deszcz bije o sz/by i dachówki — a wewnątrz, w domu jest jasno i zacisznie w każdym kąciuku, jasno w każdej duszy.

W srebrnym świeczniku chanukowym pali się już ósma świeczka, a obok stoi pochylony i napół roztopiony woskowy „szames”, z trzaskiem strzelając iskrami.

W skórzanem fotelu siedzi babunia, świątecznie wystrojona, a wielkie jej oczy błyszczą. Złote atlasowe wstążki głębokiego czepka powiewają na głowie, brylantowe wielkie kolczyki świecą w uszach, a ona siedzi ciągle zamyślona, my wszyscy obok niej, ja zaś na małym stołeczku u jej nóg, oparłszy głowę o jej kolana. Staruszka siedzi ciągle nieruchomo, zacisnąwszy mocno wąskie wargi, i tylko wielkie, cudowne oczy błyszczą. Jakaś Boża tajemnica kryje się w tych wielkich, mądrych i wiecznie błyszczących oczach! Czoło babuni jest poryte zmarszczkami, plecy pochylone, ręce drżą, głos drży — a tylko te wielkie oczy płoną i błyszczą!

Czego tylko nie widziały te oczy?! Co już

wszystko przewinęło się przed niemi, odkąd ta kobieta spogląda na świat!

Cicho! Teraz podnosi swą zmęczoną i ciężką głowę, budząc się ze swych nieustannych marzeń.

— Dzieci! Jaka ja jestem stara, o, jaka stara!... Więc mam dni i nocy za sobą, niż piasku jest nad morzem, o więcej, prawda? Ale widzicie, to, co wam dziś opowiem, jest starsze ode mnie, o jakieś dwa tysiące lat starsze... Tak, tak, dzieci, o dwa tysiące lat, powiadam wam; opowiem to wam teraz, muszę zrzucić ten ciężar z serca; siedziałam tak: myślałam, myślałam, długo myślałam, a serce moje jest przepelnione tem...

Na dworze ciągle jeszcze wyje i świszczce wicher, ale głośniej od wiatru brzmią dziś słowa staruszki, jasno i wyraźnie rozlega się jej głos — ja zaś siedzę i słucham chciwie.

Cicho! staruszka mówi teraz z wysoko podniesioną głową.

— Dzieci! Myślicie zapewne, że znowu opowiem wam jakąś chanukową historję? Mylicie się. Chanukę i czyny wielkorządcy Antiochusa znacie już wszyscy. Opowiem wam coś innego nowego, coś, co wydarzyło się również w Jerozolimie i również za czasów wielkorządcy Antiochusa, ale co o pięć lub sześć lat jest starsze od chanuki. Jest to historja o żydowskim chłopcu, który chodził do szkoły i w szkole rozplakał się pewnego razu — a płakał nie dlatego, że go ktoś uderzył, ale dlatego, że zabolalo go serduszek i zabolala dusza... będzie to smutna historja.

Staruszka umilka nagle, wąskie jej wargi zaciskają się, błyszczące oczy zamykają na chwilę — ja zaś siedzę u jej stóp, z głową opartą o jej kolana: słucham, słucham.

\* \* \*

— — — Ulice Jerozolimy.

Domy kąpią się w morzu promieni, niebo jest błękitne, dziwnie błękitne, a po błękitcie przeciągają wolno i leniwie białe obłoczki. Powietrze jest czyste i ciepłe. Drzewa mają duże, zielone liście, bezszelestne w nieruchomem powietrzu.

Jest upalne lato, lato roku 3590 po stworzeniu świata.

A na ulicy bawią się dzieci, śmieją się, żartują i cieszą. „Lato! Lato!” Pod nóżkami świeci żółty piasek, nad główkami płonie złoto słońca, a młode serduszka rozwierają się szeroko, biją mocno i omal nie pękają z nadmiaru radości...

Nagle głos jakiś rozlega się obok. „Uczyć się, dzieci, uczyć się! Czas już do szkoły!”

Dzieci oglądają się: wysoki staruszek o długiej siwej brodzie, poważnej twarzy stoi obok. Któż z nich go nie zna? Kto nie wie, kim jest Jossi ben Joczar z Credy?

A im dłużej stoi i przygląda się dzieciom, tem łagodniejszego wyrazu nabiera jego twarz i jakby wilgotnieją oczy. „Pozostały nam tylko nasze dzieci” mówi cicho do siebie „pozostała nam tylko ta jedyna

podpora, na której wspiera się cały naród... Mamy jeszcze tylko nasze dzieci...”

I stoi tak, pogrążony w marzeniach i myśli myśli...

Co stało się z jego narodem w ciągu ostatnich kilku lat? Prawda, naród jego mieszka jeszcze w swoim kraju, w Erec Izrael, ale kraj ten nie jest już jego krajem; w rzeczywistości należy już teraz zupełnie do greckiego wielkorządcy, do Antiochusa Epifanusa, który, tocząc teraz wojnę w Egipcie, pozostawił tu swego zastępcę, sędziego Andronikusa. A zastępca ów rządzi z tyrańską mocą, tępi z całych sił resztki ducha żydowskiego i z Erec Izrael chce zwolna uczynić Grecję, ponad całym krajem rozpościera greckiego ducha, sieje greckie zwyczaje oraz obyczaje i ma, widać, zamiar nie spocząć, póki całe Erec Izrael nie „zgreczy”. Ulice Jerozolimy mają przeważnie nieżydowskie nazwy, gdyż wprowadzono greckie; monety żydowskie zostają stopniowo wycofane i w obiegu zjawiają się greckie; nadawanie dzieciom imion żydowskich jest wzbronione i oficjalnie nazywa się je po grecku; żydowskie chorągwie o żydowskich barwach — usunięto, wprowadzono natomiast greckie, a w liszkach gazit, gdzie zasiada sanhedrjon, zdjęto żydowskie herby i zatknięto greckie. Pozostał jednak jeszcze wówczas arcykapłan Onjo, który całe życie poświęcił utrzymaniu resztek żydowskiego ducha, więc Andronikus kazał go zgładzić, na jego miejsce zaś mianował arcykapłanem Menelausa, przepojonego greckim duchem — kto zaś wie, co przynieść jeszcze może dzień jutrzejszy?

— Mamy tylko nasze małeństwa, pozostało nam tylko nowe pokolenie — szepcze do siebie reb Jossi, a gdy mówi głośno: Uczyć się, uczyć się, dzieci! Już czas do szkoły! — twarz jego staje się znowu poważna i surowa.

Chłopcy zaś zrywają się i śpiesznie biegną, a najbardziej śpieszy się mały Joezar, Jossiego najmłodszy syn.

Ale słońce świeci dziś tak kusząco, że nie łatwo jest porzucić świeże, pod błękitnem niebem pachnące, powietrze i wejść do szkoły! Wesoło i z lekkim sercem mijają mały Joezar most Kidron i przystaje na chwilę. Znajduje się tam kramik greckiego przekupnia z nowymi zabawkami, więc chłopak wlepia w nie oczy i stoi jak wryty. Wkrótce jednak zjawia się na progu grecki kramarz i wymyśla żydowskiemu dziecku, a żydowskie dziecko bez tchu biegnie dalej.

Biegnie przez plac Jehoszat i przez most Antiochusa, aż na rynku Andronikusa przystaje kilka razy, żeby obejrzeć drogie, przywiezione z Aten, Sparty i Bizancjum, przedmioty, które handlują Grecy: złote sandały, sznury pereł i złote gwiazdy, rozmaite figurki, służące do zabawy, koniki, pieski, i małych ludzi, zrobionych z drzewa, kamienia lub gipsu, a wszystko to połyskuje w blasku słonecznym, aż oczu oderwać nie można. Nagle jednak dzieciak przypomina sobie, że nie ma czasu i biegnie dalej bez tchu...

Ale na placu za świątynią przystaje znowu. W północno-zachodniej części wznosi się tam pałac zwany przez Greków „Akra”, w którym znajduje się gimnazjum. Uczą się w niem żydowskie dzieci pod nad-



rokiem greckim gimnastyki, tańców i sztuki atletycznej.

Dziecko staje i oczyma wpija się w dwóch żydowskich chłopców, popisujących się właśnie, a serduszko omal że nie pęka mu z radości. Jak piękne jest życie pod gołym niebem! Dwóch chłopców wychodzi na arenę i walczy ze sobą, chwytają się i rzucają nawzajem na siebie, jeden chce zwyciężyć drugiego, ale nie może żaden i po chwili padają obaj na ziemię, a publiczność wybucha głośnym śmiechem, patrząc na tych żydowskich „siłaczy”. Potem wychodzą na arenę żydowski chłopak i żydowska dziewczynka, oboje prawie nadzy, tańczą zaś oboje przesłicznie i zręcznie, a muzyka gra, bębny biją i na świecie całym panuje radość...

Nagle smutek zdejmuje małego Jozara; przypomina sobie o szkole...

Ale nogi jego, zda się, są wrosnięte w ziemię i nie mogą uczynić kroku, oczy zaś wpijają się w arenę. Oto wchodzi dwaj nowi chłopcy, oto są nowe tańce, oto nowe sztuki! A jego mały zły duszek trzyma go i nie pozwala ruszyć z miejsca. Mija godzina, mijają dwie, trzy godziny, a dziecko ciągle jeszcze stoi na placu za świątynią.

Słońce obiegło już połowę nieba.

Wielki strach opadł nagle małego Jozara: już większa część dnia minęła, a on jeszcze nie był w szkole. Gdy przyjdzie teraz, jak będzie się nań gniewał nauczyciel! Co na to powie? I nagle chłopak wyobraża sobie nauczyciela o poważnej i surowej twarzy i poważnym surowym głósie...

I dzieciak poczyna biec jak puszczone z łuku strzała.

A po drodze lecą za nim te wszystkie cula, które widział w „Akrze”: nadzy chłopcy i dziewczęta, tańce, atletyczne sztuki, walki i skoki, muzyka i bębny. Zaś wśród tego wszystkiego słychać gniewny głos nauczyciela, a oczy Jozara widzą rebege nawet zamknięte... I chłopiec biegnie bez tchu, tak szybko, jak tylko mogą go unieść nogi, i w ten sposób dociera do uliczki, przy której mieści się szkoła. Przystaje jednak przed nią na chwilę, gdyż umysł jego jest zbyt wzburzony, i, ocierając pot z czoła, przysłuchuje się, jak mu bije serduszko. Po chwili kładzie rękę na klamce, a jeszcze chwilę później jest już w szkole.

A jakiś ciemny, ponury smutek opada go nagle i nogi ciążą mu ołowiem.

Co to? — Martwa cisza panuje dziś w szkole, a głęboki smutek wyziera z każdego kąta; chłopcy siedzą milcząco, spokojnie, bez ruchu, nikt dziś nie rozmawia i nie ogląda się na sąsiada — szkoła jest dziś jakaś inna niż zawsze.

A nauczyciel stoi oparty o katedrę. Głowa jego spoczywa na szerokiej dłoni, oczy zaś są zamknięte. Potem głowę podnosi cicho i spostrzega małego Jozara.

— Synu mój! Przyszedłeś dziś późno, bardzo późno, ale dobrze, żeś przyszedł...

Co to ma znaczyć? Głos jest miękki i słowa łagodne, a padają one głęboko w małe, młode serduszko. Kiedy to nauczyciel przemawiał doń w ten sposób? Skąd pochodzi ten smutek w głosie oraz ta

miękkosć i łagodnosć? — W tej chwili doprawdy boli małego Joezara, że tak daremnie i napróżno wałęsał się przez pół dnia i że tak późno przyszedł...

— Dziecko moje! — mówi dalej nauczyciel, a głos mu drży — weź książkę i czytaj swój urywek... gdyż... gdyż...wiedzieć musisz... dziś jest ostatni raz... jutro już nie wolno będzie uczyć się po hebrajsku.

A głos załamuje mu się prawie od łez. Dzieci dreszcz przejmuje na widok nauczyciela, tego silnego, surowego człowieka, płaczącego jak dziecko...

— Zgaszono nam ostatni płomyk! Mowę naszą zabrano nam! — mówi nauczyciel, nie może już stłumić płaczu — co się teraz stanie z naszą trzódką? Skąd będą teraz wiedziały, skąd będą teraz mogły wiedzieć nasze dzieci, czem był ich naród, jak poznać będą mogły jego ducha, jego historję i wielkosć?!...

I ręką łzy ociera z oczu, a dzieci wokoło poczynają płakać.

A ciszej i smutniej od innych płacze teraz mały Joezar, serce zaś pęka mu prawie z żalu o popełnione dziś grzechy... Czuje, że w ciągu chwili jednej zmienił się zupełnie.

— To jest ostatni raz! Jutro przestaniemy uczyć się Tory! — słyhać po raz trzeci głos nauczyciela, ale niema już goryczy w tym głosie, brzmi on teraz miękko i litościwie, tak, jakgdyby chciał powiedzieć: Jutro zginie świat cały i ziemia stanie się pusta i jałowa...

A chłopcy biorą się do książek

A gdy mały Joezar wyjmował swoją, drżały mu

ręce i oczy napełniły się łzami. Nigdy jeszcze nie czytał swych zadań z taką gorliwością i nigdy jeszcze słowa nie ryły mu się tak głęboko w pamięci, jak tego dnia!

Tego dnia mowę wszak kładziono do grobu! Tego dnia naród wykreślano z pośród narodów! Tego dnia kraj ścierano z pomiędzy krajów na ziemi!...

A mały Joezar wie i rozumie to wszystko...

I nauczyciel przemawia doń tego dnia miękko i łagodnie, spogląda dobrotliwie, a objaśnia słodko, z czworokątnych liter zaś wyłaniają się tajemnice tak boskie, jakich chłopiec nigdy jeszcze nie widział i nie rozumiał...

A im łagodniej przemawia doń nauczyciel, tem bardziej płacze dziecko, nie wiedząc samo dlaczego, a młode serduszko omal że nie pęka z bólu.

I przysięga dziecko w duszy, że nigdy więcej nie podejdzie do Akry!!...

Słońce już zaszło, w szkole jest coraz ciemniej i słychać tylko drżący głos nauczyciela, uczącego dziś Tory po raz ostatni...

A u drzwi rozlegają się kroki przechodniów, mówiących po grecku, zewnątrz zaś świat jest radosny i pogodny...



Świeczka w chanukowym świeczniku dawno już zgasła.

W skórzanym fotelu siedzi jeszcze babunia i milcząc zakrywa dłonią oczy... Na dworze wiatr przestał wycić i świszcząć, i tylko wewnątrz domu, po całym pokoju, rozpościera się ciężka smutna mgła.

## T a n i e c

Matka moja słyszała o tem od swojej matki, jej matka od babki, babka od prababki, pokolenie od pokolenia, pokolenie od pokolenia — a moja matka przekazała to mnie.

Kiedy żydzi wyszli z Egiptu, był pomiędzy uchodźcami pewien młodzieniec z Erew Raw o pięknej postaci i pociągającej powierzchowności, a nazywał się Put. Niewiasty i dziewczęta ze wszystkich końców bozowiska spoglądały zwykle przez cały dzień w jego stronę, a w nocy, w czasie postoju marzyły o nim we śnie.

W owym czasie ujrzała go również pewna dziewczyna z rodu Gerszon, krewna pokolenia Menasse. Nazywała się Tymna. Twarz dziewczyny w owej chwili poczerwieniała nagle i nagle zbladła — dziewczyna pokochała go.

W owych czasach cudów niebo było jeszcze nowe i tysiąckroć bardziej błękitne niż teraz, ziemia była jeszcze świeża i tysiąckroć bardziej zielona niż teraz, a również miłość była jeszcze nowa i tysiąckroć bardziej silna niż teraz.

Ale młodzieńca też pociągnęło coś do dziewczyny.



ny i całymi dniami przejeżdżał obok jej namiotu. Kiedy udała się z Ramzes do Sukkot bez słowa pojechał za nią, potem z Sukkot do Etam, z Etam do Pi-Hachirot przy Baal-Cefon. Za każdym razem jechał jej śladem niby cień na ścianie. W Pi-Hachirot, pewnego poranku, gdy słońce oslepiająco świeciło, zbliżył się do niej, podał jej mały pierścionek z czystego złota i wsunął go jej na palec, a pierścionek kąpał się w blasku słonecznym, błyszczał, oraz połyskiwał i świecił dookoła. W tej chwili chłopak pochylił się nad nią i złożył na jej ustach długi pocałunek, dziewczyna zaś całowała go również — a wielkie jej czarne oczy stały się naraz jeszcze większe.

A z Pi-Hachirot pociągnęli razem do Marah, do Elim, nad Martwe Morze i na pustynię Sin. W dzień słońce paliło do szaleństwa, oni jednak nie czuli tego, nocami zaś siadywali na progu namiotu, jego lewa ręka spoczywała pod jej głową, a prawa na jej sercu, a nie mówili do siebie ani słowa.

W pustyni Sin młodzieniec zniknął naraz i w obozie nie widziano go więcej. Wielu mówiło, że miał już dosyć Tymny i że powrócił do Egiptu...

Ale dziewczyna nie wierzyła. Wstając rankiem spoglądała na pierścień — a wielkie czarne jej oczy były wówczas dwa razy większe; w południowej porze brała pierścień do ręki i wpatrywała się weń, wpatrywała i wpatrywała; w nocy kładła go pod poduszkę i widziała Puta we śnie. Była spokojna. Nie może przecież mieć ciężkiego serca ten, kto posiada taki pierścień, a jego ofiarodawca nie może zdradzić. Powróci wkrótce.

Ale młodzieniec nie wrócił. Po przybyciu do Dafkoh, niewiasty i dziewczęta obgadywały ją i spoglądały na nią drwiąco i z adliwie. Ale ona nie widziała tego. Miała pierścień. Nic więcej nie obchodziło ją. Pierścień począł się stawać pewnem czemś w jej życiu.

Ale gdy przybyli do Alusz, młodzieniec też nie wrócił. Głęboka brózda pojawiła się na jej czole, a wielkie oczy zamgliły się. Cichy, ponury, ciężki smutek zjawił się nagle z pod ziemi i czatował wokoło. Niewiasty przestały drwić. A dziewczyna spoglądała co chwilę na pierścień na palcu i nie robiła nic więcej; czasami śmiała się, czasami płakała, czasami oczy jej błyszczały, a czasami zamykała się w swym namiocie i chowała się przed ludźmi.

A gdy przyszli do Refidem, dni stały się puste; i puste stały się noce — ona zaś ciągle czekała i czekała. Pewnej nocy wstała, wzięła miedziane lustro i przejrawszy się w niem, zauważyła, że u skroni posiadały jej włosy. Niewiasty i dziewczęta zbierały się teraz wokół niej i przemawiały łagodnie — ale ona nie słyszała nic. Z całych sił tylko przyciskała pierścienek do palca, nieraz zaś zdawało jej się, że to nie pierścienek, lecz młodzieniec i tuliła go do siebie. A nieraz plątały jej się myśli i nie zdawała sobie z niczego sprawy.

Tymczasem dotarli do pustyni Synaj. Dziewczyna z dnia na dzień mocniej przyciskała pierścien do palca. Pierścień stał się dla niej drugą duszą, od której zależne było całe jej życie. Ucieleśniał wszystkie jej życzenia i marzenia. Wszystko co się z nią stało i co się miało stać, stapało się w jedno z nim. Póki jego

miała, mogła mieć nadzieję — a nadzieję mieć chciała.

A na pustyni Synaj działy się tymczasem wielkie i potężne rzeczy. Boga zażądał lud — widzieć go chciało i móc dotknąć każdej chwili. I zebrał się tłum przed arcykapłanem i wył i krzyczał: Wstań i daj nam Boga! Nie ustąpimy, póki nam nie dasz Boga! — A kapłan podniósł oczy do góry, westchnął i rzekł: Jutro dam wam Boga. Niechaj każdy z was da monety lub kolce, pierścienie lub jakiegokolwiek bądź rzeczy ze złota, a ze złota tego zrobię wam Boga!

W upalny ranek następnego dnia od progu namiotu arcykapłana ruszył nowy, ogromny wóz, zaprzężony we dwa czerwone byki, Wóz ów był pozłacany po bokach, świecił i połyskiwał na wszystkie strony, a rogi byków pokryte były błyszczącym złotem i obwiązane czerwonymi i niebieskimi wstążkami, powiewającymi w powietrzu. Z każdej strony wozu szedł kapłan w jedwabnej koszuli i z trąbą w ręku, a daktylowe dzwoneczki u dołu jego szaty pobrzękiwały przy chodzeniu. Zwolna ruszyły byki; kapłani zagrali w trąby, a na dźwięk trąb wyszedł lud z namiotów, każdy stanął przed progiem wraz z żoną, synami i córkami. Wóz zaś objeżdżał całą gromadę, od jednego końca obozu począwszy, do drugiego, od namiotu do namiotu, a wszyscy, mężczyźni i niewiasty, starzy i młodzi, bogaci i biedni, rzucali jakiś złoty przedmiot na wóz ofiarę, z której miał być zrobiony Bóg. Na całym obszarze nie pozostało nikogo, ktoby nie złożył datku. Mężczyźni dawali monety, z'ote łańcuchy lub setki innych złotych przedmiotów, niewiasty zaś zdejmowały z siebie kolczyki, pierścionki, bransolety, naszyjniki lub broszki i rzucały to wszystko na wóz. Rzucali biedni

i bogaci: gdyż każdy chciał mieć Boga. Szał jakiś ogarnął cały naród. U progów i na szczytach namiotów stał tłum i czekał na wóz, a złote świeczniki, złote chorągwie, złote obręcze i złote naczynia, złote puhały i złote herby rodzinne leciały ze wszystkich stron, a jakaś bogata kobieta chwyciła nawet złotą piszczałkę, którą bawiło się jej dziecko i cisnęła na wóz. Wóz był już przeładowany i ciężki od złota, zaledwie mógł jeszcze ruszyć z miejsca — a lud wciąż jeszcze nie przestawał rzucać.

W ten sposób wóz dotarł do progu namiotu Tymny.

A Tymna stoi przed wejściem z pierścieniem na palcu. Wszystko na świecie odda, tylko nie ten pierścionek. Całe jej życie złało się w jedną całość z tym pierścionkiem, wszystko co ma i co miała. Pierścionka nie odda, nie odda! Nie odda! Nie odda! — A wóz coraz bardziej się zbliża. A z okien, z dachów i z progów sąsiadki jej rzucają, co która ma. Z progu obok niej leci złota obręcz, pada i ginie w złotej górze na wozie; a oto leci złoty puhar, a oto wielka złota misa; szął zdawał się ogarnąć tłum, mężczyzn i kobiety, starych i młodych, biednych i bogatych, a jednego podniecał drugi. I oto wóz zbliża się do namiotu Tymny. Kapłani trąbią, byki ryczą i dzwoneczki brzęczą, Tymna zaś stoi tuż przed wozem.

Strach ją naraz ogarnął, a sama nie wiedziała dlaczego. Prawą ręką zdjęła pierścionek z lewej, potem zaś włożyła go napowrót, zdejmowała i wkładała, zdejmowała i wkładała, jakgdyby bawiąc się nim, sama zaś nie wiedziała co czyni. Nagle pi...



ślizgnął jej się z rąk i chwilę później leżał już na złotym stosie na wozie. W tej chwili uczuła, że coś szarpnęło się w jej sercu i przerwało, a serce jej stało się naraz puste. Wóz nagle zniknął jej z przed oczu i tłum wokoło, a słońce zgasło na długo. Później ujrzała znowu wóz, ale wokoło było jeszcze ciemno. W tej chwili dziewczyna zrozumiała, że wybrany przez nią nie powróci nigdy i że dla niej umarł już na zawsze.

A wóz zwolna potoczył się dalej, zbierając ostatki, które lud miał jeszcze do ofiarowania, i w ten sposób dotarł do końca obozu.

Dnia następnego wielkie święto obchodzono w obozie. Arcykapłan wrzucił całe złoto, przywiezione przez wóz, do ognia, potem zaś wziął formę i tak długo odlewał złoto, aż gotów był złoty cielec — Bóg! I lud ujrzał Boga. I krzyczał z radości. Wówczas kapłan począł się modlić i błogosławił lud i błogosławił ofiarę, którą lud złożył. I radość zapanowała wielka. A tłum zasiadł do jadła i napoju, potem zaś zaczęto grać i wystąpiły naprzód wszystkie niewiasty i wszystkie dziewczęta. Mężczyźni dęli w piszczałki i bili w bębny, kobiety zaś podały sobie dłonie, jedna drugiej, i poczęły tańczyć.

Nagle stanęły wszystkie i cofnęły się. Dziewczyna jakaś zjawiała się nagle między niemi, a tańczyła tak jakoś dziwnie, jak nikt inny. Podnosiła to stopy, to głowę, to ramiona, poruszała je w górę, to w dół, to w tył, to wprzód, to ze śmiertelnym spokojem, to znowu dziko, aż strach zgarniał wszystkich i włosy stawały dęba. Czy to nie Tymna z rodu Gerszona, krewna domu Menasse?



Teraz tańczy cicho, wolno i spokojnie — wokoło wszystko kwitnie i zielenieje, są to pierwsze dni nadziei. Kwitnie i zielenieje wszystko na ziemi, kwitnie i zielenieje w jej sercu, ona zaś z wolna pochyła głowę. Twarz i oczy jaśnieją, dany został pierwszy pocałunek...

Nagle rzuca się, krąży i wije jak wąż — jest pierwszy ból, wiatr powiał na kwiaty i na serce, mróz zdjął i strach...

Po chwili uderza końcami palców, wydaje się wyższa i większa, tup-tup, tup-tup: ma jeszcze pierścień, ma jeszcze pierścień, ma jeszcze pierścień! Całe jej życie i cała jej dusza wraz z jej wybranym skupiła się w tym pierścieniu i stopiła się w nim w jedno.

A teraz znowu wlecze się ciężko, członki jej są jakby zmartwiałe, a mięśnie skamieniałe — a nadzieja jest tak słaba, ucieka i kona i słychać zaledwie jeszcze: może, może, może...

Nagle zrywa się z miejsca, głowę odrzuca wysoko w tył: tego nie odda! nie odda! niech przyjdzie, kto chce!

Chwila jeszcze, a krąży wokół cielca, kręci się dziko, jak obręcz na wietrze — wszystko oddała temu Bogu. Oddała jedyne go swego. Wybrany jej znajduje się teraz w nim.

I tańczy gwałtownie i dziko, stopy prawie nie dotykają ziemi; to przez chwilę jest blisko słońca, to daleko odeń — ból ustał, roztopił się i rozplynał. Nie ma już w sobie duszy, jest w niej tylko ukochany, ale właściwie nie jest to ukochany, tylko pierścień, i właściwie nie pierścień, tylko jej życie — a tańczy dzi-

ko i gwałtownie. Teraz zaś nie jest to już jej życie, lecz Bóg — a wszystko płacze się i zlewa w jedno i teraz już nie może odróżnić jednego od drugiego. Dusza jej wcieliła się w ukochanego, a ukochany wcielił się w pierścień, a pierścień zamienił się w życie, życie zaś ustało nagle i zrobiło się Bogiem.

A taniec staje się coraz potężniejszy, coraz dzikszy. Ból ustał już zupełnie i jest teraz tylko Bóg. Nie jest to już tylko jej ból, jest to ból wszystkich. A taniec staje się coraz potężniejszy, coraz dzikszy, burza wzrasta, dzikość jest coraz straszniejsza — i strach opada cały lud, wszyscy odrzucają bębny i piszczałki i stoją skamieniali, potem zaś poczynają uciekać daleko, daleko . . .

A ona tańczy coraz dalej, bez końca, bez ustanku, bez granicy. Na ustach ma białą pianę, zapanować już nie może nad swemi członkami i nagle pada.

Gdy ją podniesiono, była martwa.

# S y n a j

## I

Dwaj pasterze: Tachpenes i Mojżesz.

I każde dziecko ze wsi, leżących wokół Goszen znało tych obu: wysokiego, silnego Tachpenesa o grubym głosie i jeszcze grubszej mowie oraz bladego, wątłego Mojżesza o długich lokach i rozmarzonych oczach. Pochodzili obaj z żydowskiej kolonii, zmienionej na egipską; ale wtedy nie było jeszcze tak wyraźnego rozbratu między jednym narodem a drugim. Dwukrotnie już był pastuch Mojżesz w Memfis, a raz też w Tebach na zebraniu magików, przemawiał tam, cuda zaś po prostu opowiadano o tym młodym mówcy. Tachpenes tymczasem wzbudzał zachwyt swą krzepkością i nie-ludzką siłą mięśni; trzy razy już podczas świąt wylewu Nilu był w Coen a na zjeździe siłaczy, walczył z nimi i za każdym razem wychodził zwycięsko.

Obaj pasterze pochodzili z tej samej wioski i byli zaprzyjaźnieni; razem pędzili swe trzody na pustynie między górami, docierali do Synaju, do Chorew i aż do góry Mur. I obaj lubili te wycieczki; jeden — bo mógł odetchnąć górskim powietrzem i silne mięśnie jeszcze bardziej wzmocnić, a drugi — bo mógł swo-

bodnie marzyć pod wolnem, błękitnem, dalekiem niebem.

Pewnego razu byli obaj ze stadami w pustyni.

„Posłuchaj” rzekł nagle Tachpenes, podchodząc do Mojżesza „Chodźmy teraz poszukać kozy. Pójdź, dopomożesz mi”.

„Kozy?” zapytał Mojżesz, jakgdyby ze snu głębokiego zbudzony. Jakiej kozy?”

„Czarnej kozy piekarza Ramzesa. Brak mi już jej od samego rana. Szukałem z psem po całej dolinie aż do Synaju, boję się jednak, że nie obrałem dobrej drogi. A teraz, widzisz, zapadnie rychło noc i wilki grozić mogą. Musimy pośpieszyć się i poszukać między stokami górskimi.”

Mojżesz na pół śpiący, leniwym krokiem szedł za towarzyszem. Trzody pozostawili na opiece chłopców i psów, wzięli ze sobą jedynie dużego owczarka i jeśli wspinać się pod górę.

Szukali godzinę bez skutku. Wówczas Tachpenes rzekł: „Rozstaniemy się. Ja pójdę w górę, a ty postaraj się zejść przez krzaki cierniowe aż do Mur, możesz nawet wziąć z sobą psa, nie jest mi potrzebny”.

Mojżesz kilka kroków zrobił w kierunku zarośli, poczem usiadł. Pies czekał nań kilka chwil, kręcił się wokoło, coś węszył i niecierpliwie przybliżał się do pana, jakgdyby chcąc zobaczyć, czy ten nie zamierza wstać. Ale widząc, że Mojżesz się nie rusza, skoczył naraz, przeraźliwie zaszczekał i popędził w górę, by dogonić Tachpenesa.

Tymczasem Tachpenes przeszukał każdą skałę, każdy krzak. W ten sposób minęło kilka godzin Wró-

ciwszy, ujrzał Tachpenes Mojżesza siedzącego jeszcze na tem samym miejscu, na którym go zostawił.

„Co to znaczy? Pozwalasz mi szukać, a sam siedzisz sobie i śpisz?”

„Nie spałem” odparł Mojżesz.

Tachpenes ani słowa więcej nie mówiąc, poszedł dalej w stronę zarośli. Po kilku godzinach pies zwał czarną kozę piekarza Ramzesa. Tachpenes wziął ją na plecy i zawrócił.

Towarzysza swego znalazł na tym samym kamieniu, na którym go zostawił.

„Wstań, oto jest koza!”

„Mojżesz jednak nie odpowiedział ani słowa, gdyż tym razem spał doprawdy. Tachpenes musiał go budzić.

„Oto jest koza! Wstań, wrócimy, rychło już pocznie dzień”.

Cicho, nie mówiąc ani słowa, zeszli w dolinę. Twarz Mojżesza była bardzo blada i kolana mu drżały. Silny Tachpenes, nie znający zmęczenia, musiał go podtrzymywać.

Gwiazda poranna błysnęła właśnie, gdy dotarli do pastwiska.

## II

W egipskim Coenie obchodzono święto Niiu. Święto owo jest niewielkie w porównaniu ze świętem Izydy i Ozyrysa w Memfis lub Apisa w Tebach. Na święto to schodzą się tylko mieszkańcy pobliskich wsi



i miast, robotnicy, pasterze, chłopci ze śpichrzów faraonowych, chcący przyrzedzić się tańcom i zabawie, skokom i gonitwom oraz kąpaniu w rzece. Czasami przybyli z dalekich stron przedsiębiorcy, poszukujący między zwyczajcami prawdziwego zapaśnika. Uprawdzali go zwykle z sobą do wielkich miast na wielkie święta, podczas których popisywano się swemi umiejętnościami wobec dostojników państwa.

Czternastu chłopców wyszło na plac walki, trąby zagrzmiały i sędziowie dali hasło: zapasy rozpoczęły się. Każdy ze skaczących miał prawo po trzykroć próbować szczęścia, gdyby zaś nie udało mu się przeskoczyć zakreślonego miejsca, musiałby zejść z placu. Pierwszy z zapaśników, Pisem, przeskoczył; drugi mu, Ojenowi, udało się również, potem skoczył Tachpenes i udało mu się za pierwszym razem, Put zaś upadł i zwichnął nogę. Potem trąby zagrały po raz drugi i sędziowie dali hasło. Rozpoczął się bieg. Tym razem na placu stanęło tylko siedmiu młodzieńców; pozostali nie byli już zdolni do wyścigów. Pisem pierwszy zbliżał się do celu, za nim postępował Ojen, trzecim dopiero był Tachpenes, ale przyjaciele Tachpenesa, dumni z niego, dodawali mu bezustannie bodźca i bili brawo — i w ostatniej chwili Tachpenes dobiegł pierwszy do mety. Wtedy trąby znowu zagrały i kapłani dali hasło; zapaśnicy wystąpili; tym razem było ich tylko dwóch, pozostali nie stawili się wcale. Tymi dwoma byli Tachpenes i Ojen. Ciała ich osuszono wełnianymi chustami i natarto olejkim, poczem walka rozpoczęła się. Ojen chwycił Tachpenesa w ramiona, szarpnął nim i usiłował położyć na wznak. Ale Tachpenes odrzucił go twardym, jak skała, łbem, chwycił za lewą



rękę i ścisnął palce, aż ów począł krzyżeć z wielkiego bólu i w ten sposób został położony na ziemi. Potem walka rozpoczęła się po raz drugi i trzeci, a za każdym razem Tachpenes wychodził zwycięsko. Współziomkowie Tachpenesa oraz znajomi jego krzyczeli z radości i dumy, bili w dłonie, wreszcie zanieśli go na rękach przed głównych sędziów. Jeden z kapłanów podał mu zwitek papyrusu, zapisanego hieroglifami, drugi pokropił go wodą świętego Nilu, a trzeci, arcykapłan, w asnoręcznie włożył mu na głowę trzciniową koronę.

Wielki tłum okrążył Tachpenesa, tłoczono się ze wsząd, chcąc mu się przyjrzeć. Przedsiębiorcy zbliżyli się również i poczęli obmacywać mięśnie jego ramion i nóg.

„Gdyby biegał jeno lepiej niż biega teraz, mógłby w przyszłym roku wziąć udział w zapasach podczas święta Apisa w Tebach” zawyrokuje jeden. Drugi zaś zbliżył się, siadł na ziemi, obmacując mięśnie i stawy nóg.

„Chodź ze mną” rzekł „u mnie jeszcze się podużysz, a możesz być pewien, że po półrocznej nauce zdobędziesz w Tebach wieniec Apisa.”

Oczy młodego siłacza błyszczały.

„Idź z nim! Idź z nim!” wołali wszyscy przyjaciele i znajomi, a oczy ich błyszczały również.

## I'

Potem odbyła się uczta. Obok kapłanów i wielkich dostojników leżał wyciągnięty na trybunie Tachpenes; tuż przy nim stał, nie odstępując go już, przysz-

ły jego nauczyciel, obok zaś lud z okolicznych wiosek i pozostały tłum.

Nagle ukazał się Mojżesz z lirą w ręku. Szedł krok za krokiem, jakgdyby we śnie, aż doszedł do kapłanów. Tachpenes chciał go posadzić obok siebie. Objął go silnymi ramionami.

„Chcesz śpiewać?” zapytał „Dobrze! do mnie tutaj!”

I silną ręką podniósł go na trybunę.

„Cicho, pasterz Mojżesz zaśpiewa!”

„Cicho pasterz Mojżesz zaśpiewa pieśń o Tachpenesie i jego niezwykłej sile” wołali wieśniacy, znajomi i wielbiciel Tachpenesa.

I Mojżesz począł śpiewać — nie śpiewał jednak o Tachpenesie — zwycięscy ani o jego nieludzkiej sile.

Mówił coś niby we śnie i opowiadał historję pewnego wieczora, kiedy śmiertelna cisza była wokoło, a on ze swemi trzodami znajdował się na górze niedaleko Synaju. Przeliczył wtedy swe woły i owce i ujrzał, że jednej brak. Więc poszedł jej szukać i dostał się między rozpadliny górskie. Noc zapadła, silny wicher dął, błyskawice świeciły między skałami, grzmoty huczały wśród niezliczonych opok, on zaś sam bezustanku szedł i szedł, przeskakiwał przepaście i pęłzał po stromych stokach skalnych.

Burza uciszyła się nieco i z trudem i wysiłkiem dotarł do dębowego lasku; nagle — dziwne jakieś zjawisko ukazało się przed nim. Płomień wielki był wokoło krzaku, krzak płonął i p'onał, ale się nie spalał, anioł zaś ukazał się z niego i głos jakiś zawołał: „Mojżeszu! Mojżeszu!”, on jednak bał się zbliżyć.

Po tem dopiero zrzucił obuwie z nóg i postąpił dwa lub trzy kroki, dalej jednak nie mógł. Głos zaś mówił dalej, a on słuchał, twarz swą zakrywszy i bojąc się spojrzeć.

I słuchać było szum skrzydeł, jakiego ucho ludzkie nigdy jeszcze nie słyszało.

I majestat Boga ukazał się — a on stoi ze szczerze zakrytą twarzą, widzą Go jednak wciąż jego oczy.

A Bóg mówi, mówi zaś do niego: „Idź i wróć do Egiptu i stwórz mi naród. Czy wiesz, jak się tworzy naród?”

„Robotników i uciśnionych zwołaj przed siebie, wszystkich, którzy jęczą pod jarzmem a wdychają pod nawałem pracy i uciskiem panów i możnych; którzy nie mają nic, prócz serca, a w tem sercu trochę uczucia — tych wszystkich zwołaj przed siebie, mów z nimi i wydobądź ich z domu niewoli, wyzwól ich oraz daj im prawa i przykazania i stwórz z nich naród.

„I patrz: zdarza się, iż człowiek stwarza Pisem i Ramzes, iż buduje olbrzymie gmachy, do nieba sięgające, piramidy i obeliski, że stawia sfinksy, które wiecznie stać mają; to wszystko jest jednak niczem w porównaniu ze stworzeniem przez człowieka narodu. A ty mi stwórzysz naród!

„Idź, wróć do Egiptu, idź do nędznych i nieszczęśliwych, do tych, którzy jęczą i wdychają i powiedz im, że są niewolnikami — oni zaś tego nie poją; i powiedz im, że są nieszczęśliwi — a nie rozumieją; i powiedz im, że wielka jest ich męka, a ucisk straszny, że sił już im nie starczy, by to wytrzymać — a nie uwierzą ci. siłą musisz im oczy otworzyć, aż prze-



rzę, poczują i pojną głębię swej nędzy — a wówczas ich wyzwolisz.

„I tłum wielki pójdzie za tobą, ludzie z wielkiej, a złej i gorzkiej rodziny, ty zaś będziesz im ojcem i uczyć ich będziesz, jak być człowiekiem i wolnym, z płazów uczynisz — ludzi, a z ludzi — naród, a z piasku — kraj.

„A Pisem i Ramzes starte zostaną z oblicza ziemi, piramidy rozpadną się, obeliski zawałą, znikną sfinksy — zaś naród ów zostanie po wieczne czasy, gdyż zginąć nie może naród nieszczęśliwych. Nędza uczyniła go wiecznym.”

I słyhać było szum skrzydeł, jakiego nigdy jeszcze nie było.

A krzak płonął dalej i płonął, ja zaś zakryłem twarz obiema rękami, lecz ciągle jeszcze widzały moje oczy.

#### IV

Mojesz zamilkł. Milczeli też wszyscy wokoło, głęboko przejęci.

Nagle powstał Tachpenes.

„Kłamstwo!” zawołał, czerwony ze złości „Wszystko, co z ust jego wychodzi, jest kłamstwem! Wszystko od początku do końca jest zmyślane! Owej nocy ja jeszcze byłem z nim razem, szukaliśmy czarnej kozy, piekarza Ramzesa, czarnej kozy! Weszliśmy obaj na górę. Ale burzy wówczas nie było! Przeciwnie, był bardzo ładny wieczór. Gdzież on widział głębokie przepaście? Co mi tam plecie o grzmotach między



skałami górskimi? Jaki płonący krzak? Jaki anioł i jaki bóg? Kłamstwo i fałsz! Na życie Faraona klnę się, że wszystko od początku do końca jest zmyślane. Ja sam wspiąłem się na skaty, a jego zostawiłem z psem przy krzakach pod Mur, gdy zaś wróciłem, wciąż jeszcze siedział na tem samym miejscu i spał. Przez całą noc szukałem sam kozy, a gdy wróciłem, spał ciągle na kamieniu. Wstyd i hańba opowiadać takie kłamstwa!”

Wszyscy wokoło jęli krzyczeć. Mojżesz stał, nie ruszając się i tylko jego rozmarzone oczy spoglądały ze zdumieniem na tych ludzi. Wyglądał, jakgdyby nie wiedział skąd się tu wziął i co oznacza ten hałas i krzyk. Oczy jego błądziły wokoło, jakby w poszukiwaniu czegoś. Nagle spostrzegł starego kapłana; nazywano go „bratem”.

„Zostawcie go w spokoju!” zawołał Aron „muszę się za nim ująć!”

Tłum jednak w dalszym ciągu krzyczał dziko i podnosił pięści.

„Po cóż ujmować się za nim? Uśmiercić go trzeba, uśmiercić oszuta!”

Wtedy kapłan podszedł do Mojżesza, lewą ręką objął jego ramiona, a prawą wyciągnął przed siebie.

„Daj go nam!” zawołał Tachpenes — „To oszust!”

„Oszust? — nie, to poeta!”

## V

I poezja stała się prawdą

Zapytaj chłopca, idącego do szkoły z książkami pod pachą.

Zapytaj go: „Co wiesz o Synaju?” — a odpowie ci: „Na górze Synaj Bóg ukazał się Mojżeszowi, panu prorocत्व. Boga widział on twarzą w twarz, jak nikt ze śmiertelnych, jednak przy życiu pozostał. Krzak płonął, ale się nie spalał, Bóg się w nim ukazał, krzepił Mojżesza i kazał mu iść do Egiptu, wywieść lud Izraela z domu niewoli, dać mu kraj Abrahama, Izaaka i Jakóba w czasie, gdy Faraon wygnał miłosierdzie ze swego serca — — —

Pewien jestem, że godzinę całą potrafi opowiadać o górze Synaj, o tem, że Bóg się objawił w płonącym krzaku, że Torę i prawa dał Mojżeszowi dla ludu Izraela oraz kraj, który obiecał ich praojcom.

A niekiedy będzie mógł powtórzyć dosłownie, co Bóg mówił przez Mojżesza na górze Synaj!

I jeszcze teraz — po tysiącach lat!

Któż nie wie o owym Mojżeszu? Któż wie o Tachpenesie? . . .

Czy jest na świecie miejsce słynniejsze od owego Synaju?

Zaś poecie owemu było na imię Mojżesz, a ci, którzy słyszeli go po raz pierwszy, nazwali go oszustem!

## VI

Nazwali go, ale słowo poety jest potężniejsze od siły cielesnej.

Zwyciężył poeta, Pierwszy, którego spotkało nieszczęście, był Tachpenes. Że „błuznił Bogu” — strącono go ze skały w przepaść. Zabito go już w kilka dni po przemówieniu Mojżesza. Zabito szpetną rzeczy-

wistość, by móc powołać do życia marzenie poety.  
To jest życie.

## VII

W nocy odbyło się zebranie.

„Niechaj marzenie stanie się prawdą. Niechaj z Synaju dana będzie ludom wszystkim Tora, którą ludy wszystkie czcić będą. Miljony pochylą się przed Synajem”. rzekł arcykapłan.

„Ja pierwszy głosić będę, jako wierzę z całego serca, iż prawdę opowiadał nam hebrajski pasterz“.

„I ja wierzę!” rzekł kapłan Eleazar.

„I ja również” rzekł Pisem.

„I ja! I ja! I ja!” wołano zewsząd.

Świat cały wierzył i codziennie widziano nowe cuda.

Oprócz Tachpenesa, którego zabito, ponieważ bluźnił Bogu, był jeszcze ktoś, kogo się obawiano. Bano się, żeby kiedyś nie zaczął znowu czegoś innego głosić. To Mojżesza samego. I jego również się pozbyli.

Mojżesz umarł —

I do dzisiejszego dnia nikt nie wie, gdzie jest jego grób.

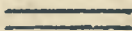


INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 7  
Tel. 26-68-11



Wkrótce ukaże się w druku siódmy numer  
wydawnictwa, zawierający między innymi  
przekład noweli **Szolem-Alejchema**

## „PORADA“



Przygotowują się do druku tłumaczenia  
utworów **Szolem-Alejchema, Opato-  
szu, Fryszmana, Weisenberga,  
Berdyczewskiego, Nomberga, Ber-  
gelsona, Segalowicza, J. Mast-  
bauma** i innych.

---

Redaktor i wydawca: E. ZYLBERMAN.





F

21.952